ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Sierpnia. **Nʳ 35.** **Roku 1854.**

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. 34. Rozmaitości.)

IV.

Córka mistrza Angelo.

Gdym opuszczał Rzym, mistrz Angelo był na wsi z swoją córką, w małéj willi którą posiadał przy gościńcu wiodącym do Florencyi od strony Castel-Nuovo.

Ich pobyt na wsi właśnie o téj porze, był mi bardzo pożądany: bez wątpienia kochałem ich oboje bardzo; ale wolałem że niebyli obecni przy pożegnaniu mojém z Giglią. Sam sobie nieumiałem zdać sprawy z tego uczucia, ale taiłem przed Plautillą ile możności stan mego serca.

Prawda, że byłem młodszy od niéj, ale ona liczyła zaledwie lat dwadzieścia pięć, widywaliśmy się codziennie, piérwsza jéj miłość była tak nieszczęśliwa; a zresztą kto wié czyli mistrz Angelo biorąc mnie do spółki w swych pracach, niemiał zamysłu połączyć mnie ściślejszym węzłem z swym domem? Czułem więc rodzaj ulgi, że ani ojciec ani córka jego niebyli świadkami mojego rozstania się z Giglią.

Smutne były pierwsze godziny méj podróży; złowrogie przeczucia miotały mną, a serce moje ściśnięte było niewypowiedzianą tęsknotą, gdym opuszczał mury wiecznego miasta. Gdybym był sam jeden w powozie, byłbym może kazał woźnicy nawrócić, by jeszcze raz zobaczyć dom, w którym mieszkała Giglia.

Powietrze odpowiadało memu wewnętrznemu usposobieniu: prawdziwe powietrze marcowe, na niebie przesuwały się ołowiane chmury które jak moje myśli gotowe były w łzach rozpłynąć. A po obydwóch stronach drogi bydło rogate siwe jak chmury nad nami, leżąc na wilgotnych pastwiskach spoglądało na mnie z wyrazem jakiejś smętności.

Przybywszy do Castel-Nuovo, gdzieśmy mieli stanąć na popas, ujźrzałem w bramie oberzy mistrza Angelo, który już czekał na mnie. Jego widok uspokoił mnie nieco, nadzieja wstąpiła znowu w mą duszę. Na kamiennéj ławce obok niego złożone były dwa kufry dość wielkie, które zapowiadały przynajmniéj jeszcze jednego nowego podróżnego.

— Czy to wy mistrzu będziecie mi towarzyszyć? rzekłem śmiejąc się. Wiedziałem bowiem, że to być niemoże.

— Nie, Manello, ja zostanę w domu, ale dostaniesz towarzysza, któremu może więcéj będziesz rad niż mnie. Zgadnij téż!

— Ktoś, komu bym więcéj był rad, caro padrone! to niepodobna, nieznam doprawdy nikogo takiego.

— Otóż wiesz kto? Moja Plautylla.

— Plautylla!

— Nie inaczéj. Uparła się koniecznie jechać z tobą; powiada że to dla niéj wyśmienita sposobność zwiedzić nasz piękny kraj: cóż ty na to?

Kochałem Plautillę jak siostrę; jéj chęć jechania ze mną zdziwiła mnie trochę, ale w istocie byłem rad temu. Niebędę samotny, pomyślałem sobie, będę przynajmniéj miał z kim się rozerwać, gdyby mnie znowu smutek opanował.

— Chciałem ją odwieść od tego projektu, dodał Angelo; przedstawiałem jéj że świat będzie szemrać widząc młodą kobiétę podróżującą z młodzieńcem innego nazwiska. Niedała się przekonać; powiada że wyższą jest nad plotki, że wolno jéj rozrządzać sobą według upodobania, nieżyjąc z mężem. Zresztą postanowiła przybrać w drodze rolę twéj ciotki. Jakże, Manello, przyjmujesz jéj towarzystwo?

W téj chwili wyszła do nas Plautilla.

— Kochana ciotuniu, rzekłem do niéj, biorę cię pod moją protekcyę.

— Bądź spokojny, Manello, odpowiedziała wesoło, biorę na siebie obowiązek napędzać cię do pracy, zamiast cię rozrywać: wiesz że umiem dawać dobre rady.

Zwyczajem jéj było mówić mi „ty“ gdy jeszcze byłem dzieckiem i nieprzestawała obchodzić się ze mną z tą braterską familiarnością; od czasu bowiem jak mnie mój wuj oddał do mistrza Angelo Volpe, nieprzeminął ani jeden tydzień żebyśmy się niewidywali.

Usiedliśmy więc oboje do powozu vetturina otrzymawszy od ojca Angelo błogosławieństwo na drogę i zlecenie ażebyśmy mu często nadsélali wiadomości i rysunki.

Będąc już raz w drodze, niespuszczałem ani na chwilę z oka celu mojéj podróży; czułem bowiem dobrze że tu szło o moją przyszłość. Zadanie było wielkie, ale miało dla mnie największe powaby.

Ze stanowiska mego kunsztu, zachwycony byłem różnobarwnością marmurów katedralnego kościoła w Pizie, kaplicy chrzestnéj i dzwonnicy we Florencyi. Zdawało mi się że dla mnie przybrały strój świąteczny stare bazyliki w Rawennie, posiwiałe wiekiem. Szczególnie w Wenecyi odrysowując przepyszne pałace nad Wielkim Kanałem, widziałem naprzód w jakim porządku ułożone będą graniaste kamyczki różnobarwne by oddać w całéj piękności obraz tych gmachów w mozaice. Pałac książęcy z swoją architekturą tak odrębną, z swą lekką sztukaturą dachów, z wdzięcznemi konturami swych fasad unoszących się nad gotyckiemi kolumnami, z swemi śmiałemi sklepieniami i łukami, zrobił na mnie sam przez się wrażenie mozaiki najmisterniejszéj.

Upajałem się ambicyą na widok wszystkich arcydzieł naszych mistrzów, czułem wzrastające me siły i wmawiałem w siebie z większém coraz przekonaniem, że potrzeba tylko silnéj woli by zostać jeniuszem. Owoż może nikt jeszcze z taką namiętnością jak ja niepragnął natchnień jeniusza.

Dobra Plautilla oddalała odemnie wszystkie materyalne kłopoty podróży; ona wybiérała pokoje, zatrudniała się bielizną i jadłem, pakowała i rozpakowywała walizy i sama godziła vetturynów.

Dzięki téj nadobnéj gosposi podróżowałem po kraju niedoznając żadnych kłopotów, jak gdybym siedział w domu, więcéj miałem swobody umysłu niż nie jeden wielki pan podróżujący z sekretarzem i kamerdynerem. Wille, góry, jeziora o tle szafirowém, krajobrazy o tle złocistém, zatoki błękitne przesuwały się przed memi oczyma, jak czarujące panorama, a przytém niedoznawałem żadnych przykrości i trudów jakie częstokroć znosić trzeba w takiéj podróży. Gdyby córka mistrza Angelo była o dziesięć lat starsza, mogłaby była uchodzić za matkę moją, tak troskliwe miała o mnie staranie. Jednak pomimo usilności z jaką chciała uchodzić za moją ciotkę, nikt temu niechciał wierzyć. Gdyby się była obawiała obmowy, musiałaby powrócić do ojca, bo uwagi jakie o nas robiono, były bardzo dwuznaczne.

We wszystkich krajach gmin zawsze ten sam: chce wiedzieć tajemnicę przejezdnych. Jeżeli mu się ją ukrywa, wtedy wpada na domysły najczęściéj krzywdzące. Stosunek tylko cokolwiek niezwykły zbija z toru opinię gminu i są pewne odcienia w sercu ludzkiém, w których istnienie gmin nigdy nieuwierzy. Przyjaźń jaka istniała między mną a Plautillą, wydawała się niepodobieństwem w oczach ciekawéj gawiedzi. Ta przyjaźń była wprawdzie żywszą, stalszą i zgodliwszą aniżeli stosunek między dwoma przyjaciołmi téj saméj płci; szczególnie ze strony młodéj mężatki opuszczonéj od męża awanturnika, miała ta przyjaźń chwile wylania i uniesień, które ją czasem podobną czyniły do miłości; ale pomimo to Plautilla była dla mnie tylko siostrą a niczem inném.

Powiedz pan sam, czy niewydałoby się rzeczą naturalną każdemu, że podobna sytuacya, że poufałość tak niebezpieczna między młodzieńcem a młodą kobiétą, musi wywrzeć zły skutek na przyszły los kobiéty: a jednak cóż pan powiesz na to że w tym przypadku nie kobiéta, ale młody człowiek stał się ofiarą téj nieroztropności! Ale niedoszliśmy jeszcze do tego.

Pisywałem regularnie do Giglii z każdego miasta gdzieśmy się zatrzymywali: byłbym szczęśliwym gdybym był mógł odbiérać od niéj odpowiedzi; ale ponieważ ona niemiała zwyczaju pisywania listów, nie mogła przeto pisywać do mnie tak, ażeby matka tego niepostrzegła; a niechcieliśmy zdradzić przed nią naszéj wzajemnéj miłości, aż dopóki dziennik urzędowy nieogłosi moich prac i mego majątku. Umówiliśmy się tylko że w razie słabości lub na wypadek zgu-

bnych żabiegów Maryi Michelli, lub propozycyi ze strony monsignora Testaccio, słowem w razie jakiegokolwiek niepomyślnego zdarzenia, otrzymam krótkie uwiadomienie od starego Giannone. W tym względzie byłem więc zupełnie spokojny; mimo-to jednak nieprzestawałem dniem i nocą myśléć o mojéj Giglii miotany bez ustanku to obawą, to nadzieją, jak to zwykle bywa u tych co szczérze kochają.

Marzenia w które zapadałem myśląc o Giglii, zdawały mi się być zupełnie tajemne; nie sądziłem ażeby te chwile odosobnienia i zadumań mogły być spostrzeżone, jednak śledzono mnie z wielką uwagą. Moja miła towarzyszka podróży wpadała widząc mnie tak często zamyślonym, na domysły, które mimo méj wiedzy przywiodły do przykrego nieporozumienia.

V.

Zawiedzione nadzieje.

Pewnego dnia po południu powietrze było duszne i ciężkie, a dusza moja pełna niepokoju i tęsknoty; zapomniałem o robocie i zamyśliłem się o Giglii i jéj matce. Łzy zakręciły mi się w oczach gdym sobie wspomniał o tém co mówiła Marya Micheli. Pogrążony w tych smutnych zadumaniach siedziałem już chwilę, gdy weszła do izby Plautilla.

— Manello mio! pewna jestem żeś zakochany! rzekła do mnie z wyrazem spółczucia.

Nieśmiałem odpowiedziéć, a gdym spostrzegł że się we mnie wpatruje, zarumieniłem się cały. Wydałem się mimowolnie; ona jednak udała że zmieszania mego nieuważa za wyznanie.

— Słuchaj, Manello, mówiła daléj, nie piérwszy-to raz widzę cię smutnym i zamyślonym: dlaczego się smucisz?... co ci dolega?.. obawiasz się zwierzyć twéj ciotce?

Mówiąc to Plautylla, zbliżyła się do mnie wzruszona i z przymileniem ucałowała mnie w czoło i ujęła mnie za ręce; niemogłem się jéj oprzeć.

— Prawda, rzekłem, źle robię że się pani niezwierzam; ale nieuwierzysz pani, ile jestem nieśmiały...

— Kochany Nello! Ty mi wszystko powiesz, jestem tego pewna, widzisz oprócz mnie nikt ciebie słyszéć niebędzie. Słońce ma się już ku zachodowi, wieczór będzie piękny, chociaż niebo zachmurzone od południa; każę zawołać gondoliera. Gdy będziemy sami na lagunach, odkryjesz mi twą tajemnicę bez obawy, nieprawdaż, caro nipote?

Nie piérwszy-to raz usiłowała mnie wybadać córka mistrza Angelo; ale nigdy jeszcze nie nalegała na mnie tak natarczywie, mogę powiedziéć, tak namiętnie.

Gdybym wtedy cokolwiek miał doświadczenia, musiałbym domyśléć się właściwéj przyczyny tego nalegania ze strony Plautilli. Widocznie była w obłędzie: nigdy mnie niesłyszała mówiącego o jakiéj kobiécie w sposób, z któregoby się mogła domyślać jakiéj żywszéj skłonności we mnie.

Odkąd pojąłem moje uczucia dla Giglii, nigdy już niewspomniałem o niéj, raz powodowany instynktową jakąś wsty-

dliwością, a powtóre z obawy, ażeby się o moim stosunku z Giglią niedowiedziała matka, którąby mi niezawodnie w takim razie wymówiła dom, gdzie mnie przyjmowano z taką serdecznością. Plautilla niewiedziała więc w jak ścisłym stosunku zostawałem z dziewczynką z ulicy Mario-di-Fiori.

Plautila zastawała mnie często zamyślonego i marzącego; ale kiedy mnie pytała o przyczynę, wtedy miasto odpowiedzi albo ucałowałem jéj rękę, albo mawiałem z wszelką powagą, na jaką się zdobyć mogłem:

— Niepytaj mnie Signorina, nigdybym się nieośmielił wynurzyć przed panią moje uczucia.

I na tém kończyły się zazwyczaj podobne sceny; odchodziła potem zwykle pogłaskawszy mnie po przyjacielsku, albo pogroziła mi palcem i uśmiechnęła się patrząc na mnie z góry.

— Patrzaj, mawiała, pan Nello stał się już słusznym mężczyzną, już i jemu mieć tajemnice!

Każda kobiéta na jéj miejscu byłaby sobie wyobrażała, że jeżeli jestem zakochany, to pewnie w nikim innym tylko w niéj; i tak téż myślała Plautilla.

Że wcześniéj niestarała się zniewolić mnie do zeznania, miała do tego dość ważne powody: miała mnie za zbyt młodego by mogła ufać mojéj stałości; a może żałowała jeszcze za swym niewdzięcznym mężem który ją tak nikczemnie porzucił; moje zupełne wyznanie byłoby ją zmusiło zmienić względem mnie swoje postępowanie; nakoniec wolała zapewnie patrzéć na wzrastające przy niéj tajemnicze uczucie, które po niéj żadnych niewymagało ofiar, nieobowiązywało ją do żadnéj wzajemności.

Jednak, dlaczegoż podjęła tę żmudną podróż? Któż-to wié? Musiała do tego mieć mnóstwo słusznych powodów. Bądź co bądź, to pewna że niepuściła się w drogę z zamysłem być dla mnie nieubłaganą. Ta podróż była dla niéj kampanią, któréj koniec był wątpliwy.

Kobiéty, nawet najcnotliwsze, chętnie stawią czoło niebezpieczeństwu; tylko w walce miłości wolno im odznaczać się czynami bohaterskiemi: nie gniewają się więc, jeżeli im przyjdzie stoczyć czasem podobną walkę. W takiém położeniu znajdowała się dobra Plautilla od kilku miesięcy a szczególnie w téj chwili.

Przyszła oznajmić mi że gondola czeka. Wyszliśmy i zajęliśmy miejsce w wygodnéj budce czółna.

— Gdzież popłyniemy, Signorina? zapytałem.

— Na Lido.

Potem nastąpiła chwila milczenia.

Niemasz miejsca, któreby więcéj sprzyjało tajemniczości i zwierzaniu się jak *camerette* na gondolach Wenecyi (w tém bowiem mieście, jak się pan zapewne domyśliłeś, byliśmy w obecnéj chwili). Z okien tych komórek wznoszących się zaledwie nad powierzchnię wody, widać czarne statki przesuwające się po cichu i prujące niezostawiając po sobie śladu zieloną powierzchnię kanałów błyszczącém żelazem co zdobi ich część frontową.

Minąwszy różowe pałace i lśniące fasady, okazują się malownicze brzegi la-

gunów zasianych wyspami o żółtych marmurach, o wieżach błyszczących z dala na tém spokojném morzu ujętém w brzegi kanału Lido. W dali jaskółka morska krąży nad wodą, a siwa czapla rozprzestrzenia swe skrzydła nad szumiącemi falami.

Dziwna cisza panuje w około; nic niesłychać prócz jednostajnych uderzeń wiosła i harmonijnego szumu fali. Suta czarna draperya ozdobiona w kutasy jedwabne, która pokrywa camerettę, umarza jeszcze i przygłusza daleki gwar miejski.

Minęliśmy już pałac celny, a nasze milczenie pełne dziwnych wzruszeń trwało jeszcze ciągle. Plautilla piérwsza przerwała to milczenie.

— Jesteśmy teraz sami, kochany Nello, rzekła głosem nieco drżącym, — zwierz mi teraz twoją tajemnicę.

— Jakże Signorina odgadła, że jestem zakochany?

— I coż w tém trudnego? każda inna coby cię była znała dawniéj tak wesołym i rozmownym, widząc cię teraz często tak melancholicznym i zamyślonym, byłaby odgadła równie jak ja tę wielką tajemnicę.

— Jednak ileż-to osób dobrze znajomych widywało mnie, moja kochana ciotuniu, i nieodkryli we mnie nic nadzwyczajnego.

— Bo widzisz, nie wszystkich tak jak mnie obchodził mój Nello. Ale ty wymijasz moje pytanie; czy się boisz ażebym cię nie złajała?

— O nie! — Tak jest, Plautillo zgadłaś pani, jestem zakochany.

To mówiąc usiadłem u jéj stóp ażeby uniknąć jéj spojźrzenia; bo zarumieniłem się mimowolnie czyniąc jéj to zeznanie.

Tu nastąpiła nowa pauza: czekałem na nowe zapytania, a ona wahała się pytać mnie daléj. Gdybym się był ośmielił popatrzéć na nią, byłbym ją widział równie zapłonioną; a gdybym był mniéj naiwnym, wszystkiego byłbym się domyślił po jéj stłumionym oddechu i po drżeniu ręki którą się bawiła w moich włosach. Nakoniec przerwała milczenie mówiąc:

— I odkądże to jesteś zakochany, Manello?

— O, już od dawna. Byłem nim już wtedy, kiedyś mnie pani piérwszy raz w Rzymie o to pytała.

— Więc to uczucie bardzo szczére, kiedy takie trwałe?

— Czyli szczére! ah, Signorina, czy możesz o tém wątpić?

— Ale, rzekła z dziwnym naciskiem, czyli ona jest wolna, czy może oddać ci swą rękę?.. w téj chwili?

— W téj chwili?.. niestety! nie, ale mam nadzieję, że to kiedyś nastąpi.

Dotychczas nic jeszcze nie wyprowadziło Plautilli z obłędu, a jednak nie wspomniałem jeszcze jéj imienia.

— Dziwny chłopczyna, pomyślała sobie, nie śmie wyrzec mego imienia.

I nowe milczenie nastąpiło między nami. W miarę jak przychodziło do stanowczego zeznania, Plautilla wahała się coraz bardziéj. Jeżeliby mnie zmusiła do wyznania miłości, którą według jéj zdania, dla niéj pałałem, cożby poczęła

potem? Ta błoga spokojność, ta szczęśliwa pewność, w któréj żyła potąd, miała zniknąć nazawsze. Wkońcu przemogła ciekawość, zapytała więc stanowczo:

— I w kimże-to się kochasz? Manellino, rzekła głosem prawie cichym pochylając się ku mnie.

— Ale to zostanie tajemnicą między nami, Signorina?

— Niebój się, odpowiedziała biorąc mnie za ręce.

— Przyrzekasz mi to pani.

— Przysięgam ci, kochany Nello.

— Kocham córkę mistrza...

— Dokończ że, dziecko; córka mistrza?... rzekła zniecierpliwiona.

Przydłużałem mojém niepowściągniętém wahaniem błąd, którego się wcale niedomyślałem, chociaż na mojém czole czułem gorące tchnienie biednéj młodéj kobiéty.

— Jest-to córka mistrza-ogrodnika Giannone Michelli.

— Giglia!... więc to Giglia!... zawołała z wyrazem boleści zrywając się nagle z miejsca.

Ukryłem głowę moją w jéj łonie robiąc jéj to wyznanie. Niebyło mi w myśli odgadywać jéj uczuć.

Plautilla, zawsze dobra, ochłonęła wnet z tego gwałtownego wstrząśnienia, któreby może każdą inną kobiétę było obraziło nazawsze. Ujęła głowę moją w obydwie ręce, ucałowała mnie z uniesieniem, by przytłumić w sobie uczucie niechęci, które się może chciało wcisnąć w jéj serce; potem przybierając dźwięk głosu prawdziwie macierzyński, ta szlachetna i wzniosła dusza zachęcała mnie jeszcze do ożywienia téj rany, którą jéj zadałem.

— Mój biedny Manelino! rzekła, dlaczegoż byś miał przedemną rumienić się mówiąc o twéj miłości! Jeżeli kochasz Giglię, to i ja kochać ją będę; pomagać ci będę wszelkiemi siłami byś otrzymał jéj rękę.

— Kochana... droga Plautillo, ja ciebie kocham prawie tak jak ją.

— I słusznie, amico mio. Najsamprzód opowiesz mi wszystko, bo mam prawo wiedzieć o wszystkiém. Czy przypominasz sobie gdyś jedenastuletni chłopczyna przyszedł do pracowni mego ojca, jak ja ciebie od razu polubiła. Byłam ci matką, Manello, a teraz, chociaż wieki nasze cokolwiek się zbliżyły, zawsze chcę tobie pozostać matką.

I córka mistrza Angelo uroniła kilka łez na moje czoło.

Uczyniłem więc czego zdawała się pragnąć. Opowiedziałem jéj wszystko, od sceny z stłuczonym dzbanem aż do naszego ostatniego pożegnania. Nie pominąłem żadnego szczegółu, niedomyślając się wcale, że biedna Plautilla myśląc że ja w niéj zakochany, pokochała mnie sama całą siłą. To tylko uważałem że w ciągu całego mego opowiadania obfite łzy płynęły z jéj oczu,

Powróciliśmy do Wenecyi; Plautilla okazywała się dla mnie równie dobrą a nawet serdeczniejszą niż przedtem. Odtąd w jéj postępowaniu względem mnie nic niezdradzało tego strasznego zawodu jakiego doznała z méj strony podczas wycieczki na laguny. Zachęcała mnie do pracy, przypominając mi sama że pracą wywalczę rękę Giglii; zatrudniała się jak zazwyczaj wszystkiemi zachodami, jak gdybym był jéj synem lub jéj kochankiem, gardząc zawsze ubliżającemi domysłami jakie obudzała nasza zbyt ścisła przyjaźń.

Nasze wycieczki i moje prace trwały dłużéj aniżelim się spodziewał. Mistrz

Angelo chciał ażebym zwiedził wybrzeża Sycylii, nim powrócę do Rzymu. Sześć miesięcy upłynęło już od mego odjazdu, a Giannone nieprzesłał mi jeszcze ani jednego listu, ani jednéj wiadomości o Giglii. Umówiliśmy się wprawdzie, że mi będzie pisywał tylko w razie jakiego grożącego niebezpieczeństwa; jednak to zupełne i tak długie milczenie niepokoiło mnie i zatrważało.

W tym względzie niemyliły mnie moje przeczucia, albowiem podczas mojéj niebytności dziwne rzeczy działy się w domu Giglii. Monsignor Ettore Testaccio widząc rozwijającą się coraz więcéj piękność Giglii, uznał że nadeszła już chwila postanowić o jéj losie, jak to przyrzekł Maryi Michelli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kurze Ślepoty.

Szczególniejszą i dotąd niedocieczoną chorobą ócz są tak zwane „kurze ślepoty (Hemeralopia.) Człowiek będzie cały dzień widział, bardzo dobrze rozróżniał wszystko, lecz byle słońce zaszło, byle się zmierzchło, coś jak gdyby przed oczy stanęło, jak gdyby mgła zasunęła powieki, nic nie widzą, nic nie rozpoznają, chociażby księżyc jasno przyświécał i lamp tysiące świeciło się. Zresztą ludzie są zdrowi, na ciele i duszy nic nie dolega, tylko że na czas kiedy im oczy zasłoni, tetryczeją, co znika ze wschodem słońca, bo wtedy i widzieć zaczynają. Choroba ta napada nagle, razi jedno i drugie oko razem, i nierozwija się nigdy stopniowo. W oku odmiany nie znać żadnéj, źrzenica tylko wydaje się rozszérzona. Doświadczano zaś że téj słabości podlegają częściéj mężczyźni niż kobiéty, i to jeszcze że się szérzy zaraźliwie między tymi co mieszkają gromadnie, jak to bywa po domach więźniów, siérot, ubóstwa. Tak panowały te kurze ślepoty epidemicznie w r. 1793 w armii piemonckiéj, w r. 1787 w Załodze Strasburgskiéj, w r. 1832 w Załodze Beford, w r. 1834 w Załodze Ehrenbreitenstein; a ostatnią tego rodzaju zarazę zapisała chronika roku zeszłego w domu karnym w Sztutgardzie. Mimo wszelkiego wysilenia medycyny, musieli doktorowie uciec się do środka jaki tradycya między ludem zachowała, a nim jest: Wątroba. I w Sztutgardzie musiał Dr. Kreuser, gdy już nic poradzić nie umiał, uciec się do tego lekarstwa, i dziwna! wszyscy chorzy wyzdrowieli wkrótkim czasie, jedząc po pół funta wątroby wołowéj co dzień dwa razy. — U nas na Podolu zapada na kurze ślepoty wieśniactwo, najczęściéj w czasie postu wielkiego, i odchodzą dopiéro po Wielkiejnocy kiedy mięso jeść wolno.

W teatrze Gymnase występuje teraz trupa hiszpańskich tancerzy, a pomiędzy niemi prawdziwa córa Grenady *Perea Nena*, o któréj mówią Francuzi, że jest *revoltante de beauté*. Mimo-to, skrzące jéj oko wabi i zachwyca wszystkich.

Jednoaktowa komedyjka służy za pretext tancerzom. Co to za sztuka? — nikt nie wie, bo nikt nie słucha ani patrzy na aktorów, mówią co chcą, grają jak im się podoba. Jakże tu uważać, kiedy za kulisami słychać szmer falban i stłumiony odgłos niecierpliwiących się kastanietów? Tam wzrok i słuch zwrócony: każdy radby żeby jak najprędzéj tańce rozpoczęto.

Nareszcie budkę suflera usuwają, podnosi się w głębi kurtyna, i całe stado hiszpanek leci ku scenie, wyrzucając naprzód końce maleńkich atłasowych trzewiczków, klaszcząc z rosnącym zapałem w kastaniety z kości słoniowéj.

Wpośród nich Nena w czarną hiszpańską mantylę uwinięta, biegnie ledwie ziemi tykając, jak sewilska dziewczyna na umówioną schadzkę. Przybiega tak nad sam brzeg sceny: nagle zrzuca mantylę, i staje w całym blasku szalonego ubioru. Spodniczka jéj jak kwiat ojczysty, kaktus, mieni się w jaskrawe kolory: gorący pons walczy nań z fioletem. Aksamitny kaftanik haftowany złotem, srebrem, perłami i drogiemi kamieniami, rzuca tysiące świateł; na ramionach zwłaszcza gęste hafty i dyamenty błyszczą jak promień hiszpańskiego słońca.

Nena jest szczupła; ręce i nogi bajecznéj małości, tyle tylko, ile potrzeba żeby uchwycić kastaniet. i obuć lilipuci trzewiczek. Stanęła chwilę;... wtém muzyka zagrała żywiéj, a ona, nim jeszcze na twarz spojźrzałem, puściła się jak strzała w taniec: i nic już niewidać w tym wirze, tylko błysk dyamentów, błysk oczu i błysk białych zębów. Na szczęście uklękła. Teraz można jéj się przypatrzyć. W tył się przechyla tak, że plecami ziemi dotyka, a nad głową złotą szarfą powiewa. Cerę ma śniadą, brwi czarne jak węgiel, oczy skier pełne, a usta.... Usta tak maleńkie, że, jak mówi jakiś poeta o sewilskiéj dziewczynie „zaledwie na nich ćwierć pocałunku się zmieści.“

Zaledwie uklękła, zaledwie odetchnęła, zbiegają się towarzyszki, w uszy kastanietami klaszczą; ona znów zrywa się i z podwojonym biegiem zawodzi nowy taniec, szybszy, wścieklejszy... Patrzącym w głowie się zawraca: pojąć trudno, że tancerka nie skona w takim tańcu, jak motyl trąbą wichrową porwany.

Perea Nena niepodobna wcale do Petry Camary, która zeszłego roku zachwycała Paryżanów, i któréj Dumas sardanapalską ucztę wyprawił zgromadziwszy wszystkich artystów z starego i nowego świata. Wybór jednak pomiędzy niemi trudny: tamta powabniejsza, ta żywsza; oryginalność jéj w niesłychanéj l o t n o ś c i i dziwnéj precyzyi tańca.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*